

Minipowieści

Przełożył Miłosz Waligórski

Szedł wzdłuż torów, pił wino deserowe, znalazł drut, a że drut był miedziany, zaczął nim oplatać kij. Zauważył to dyżurny ruchu i zgłosił na policję. Zanim faceta złapali, zerwał łączność z Polską.

„W Ostrawie leżałem rozbity. Pół roku nieprzytomny” – mówił mi rano. „Miałem wybite oko, porwane ścięgna na ręce, pękniętą czaszkę, zmiażdżoną klatkę piersiową, żebro przebiło mi płuca i nie mogłem ruszać palcami. Bez zębów, w szyi trąbka, na jedno ucho nie słyszę. Kopalnie węgla, panie doktorze! Proszę mi dać papierosa”.

Zaprowadziłem gościa do pokoju, bo ktoś zadzwonił. Kiedy otworzyłem, na korytarzu stała mała, chuda kobieta z piegami na twarzy. Przez grube okulary patrzyła w ziemię. Na mnie spojrzeć się wstydziła. Ma ponoć czworo dzieci. A ten wczorajszy nóż to tylko przypadek! Mąż nie chciał jej zabić. Prosiła, żeby się leczył. W międzyczasie jednak zmieniła zdanie. Policjanci. Izba wytrzeźwień. To wszystko musiało przerazić jej męża. Chce się z nim widzieć! Choćby tylko spojrzeć na niego przez okienko. Płacze. A kompicik, papcie, piżama? Nie może tego tu dla niego zostawić? Przecież on jeszcze nigdy nie był na izbie. Nie jest mu zimno? Ma co jeść?

Przegnałem ją w diabły.

Ten jej wspaniały mąż leżał splewany na łóżku, w ubraniu. Kiedy go rozwiązałem, wypadła mu z kieszeni finka. Zdębiałem. Oczywiście wyobraźni widziałem, jak ten nóż wbija mi się w żołądek. Wolałem faceta znowu związać.

Następny dzwonek. Młody mężczyzna, porządnie ubrany, wory pod oczami. Chciał, żeby mu wystawić potwierdzenie, że spędził noc na izbie. Wczoraj był z dziewczyną, żona będzie pytać, gdzie się podziewał.

„Dlaczego na izbie?” – kręciłem głową.

„Brzmi przekonująco” – powiedział. „Jakbym szukał wymówki, nie uwierzyłaby mi”.

Wystawiłem potwierdzenie. Jak tylko mu je podałem, rzucił na stół pięćset koron i od razu uciekał, aż się kurzyło.

Zaparzyłem sobie kawy i zacząłem dzwonić.

Policja, południe. Nie mogli przyjechać. Mieli trupa, ale nie mieli samochodu. Na dworcu kolejowym robotnika przysypała glina. Zanim go wyciągnęli, chłop się uduślił. Wykręciłem północ. Też nie mogli przyjechać. Znaleźli minę. Ciężarówka wyrzuciła przed blokiem piasek. Na samej górze leżała mina. Muszą teraz przesypać piasek z jednej kupki na drugą. Bo co jeśli gdzieś tam jest jeszcze jedna mina? Tę, którą znaleźli, policjanci wzięli do samochodu, oznakowali karteczką, przewieźli na wydział. Naczelnik wywalił ich z hukiem. Jeszcze mu wysadzą w powietrze cały wydział! Odwieźli minę z powrotem, zadzwonili po pirotechników.

Moi pacjenci jednak już się niecierpliwili, biegali tam i z powrotem, do ubikacji.

Poganiiali mnie, żeby dzwonić, niech już ich zabierze policja, niech ich w końcu spisz. Zabijała ich ta nasza piwniczna atmosfera.

Tylko jeden czuł się tu dobrze. Młody gość. Szlymak. Musiałem wyrzucić go z łóżka. Kiedy sobie przypomniał, że miał iść do pracy, zaśmiał się. Pracownik usług pogrzebowych. Mają dzisiaj pięć ceremonii. Był bardzo zadowolony, że mu się upiekło. Jak dobrze, że się spił.

„Wczoraj mieliśmy Cygankę, grubą jak beczka” – zwierzał się. „Nie mogliśmy jej wpechnąć do trumny, chociaż daliśmy jej największą, jaka była. Zaparliśmy się i wciskaliśmy, ale ciągle wyskakiwała jej ręka albo noga. Wszyscy na niej usiedliśmy i napieraliśmy najmocniej, jak się dało. Dwie godziny się z nią mordowaliśmy...”.

Pałitem i popijałem kawę, a Szlymak wygodnie mościł się na ławce.

„Później Cygankę odwieźliśmy do krematorium” – ciągnął dalej. „Tylko że trumna nie zmieściła się do pieca. Musieliśmy dzwonić do krewnych i chować ją na cmentarzu. Znowu problem! Kiedy nasza skoda tysiącdwieścietrójka wlekała się pod górę, trumna wypadła i Cyganka sturlała się na ulicę! Akurat schodzili się ludzie na następny pogrzeb”.

W końcu przyjechali policjanci z południa. Jakby za mało było tych opowieści, policjant dorzucił następną.

„Wpadamy do domu, wyważamy drzwi. Wszędzie pełno krwi. Kałuże jak w rzeźni. Na łóżku kobieta. Trup. Facet siedzi na szafie, nieobecne spojrzenie, trzęsie się. Szaleństwo, człowieku! Żeby doprowadzić go do karetki, musieliśmy rzucić na niego sieć...”.

Na obiad, kiedy już izba się wyludniła, położyłem się na kanapę, przykryłem białym szpitalnym kitem. Kawa w ogóle mi nie pomogła. Przeciwnie, uspiła mnie.

Za jakieś dwie godziny obudzili mnie policjanci. Przywieźli z szafasu bacę. Zarządca znalazł go, jak pijany w sztok leżał wśród owiec. Przez godzinę faceta rozbierałem. Miał na sobie osiem swetrów, a między nimi wypełnienie z bodiaków. Całe ciało pokrywał liszaj. Kiedy ciągnąłem go do pomieszczenia, tupież syptał się na posadzkę jak śnieg.

Później bacia otrzeźwiał. Był spragniony, dałem mu coś do picia, a on, trzymając w ręce blaszany kubek, usiadł na krześle. Miał ponoć kolegę. Też bacę. Siedzieli kiedyś latem przed szafasem, pili borowiczkę. Wlali w siebie już całą butelkę. Spogląda bacia na kolegę i odzyskuje koncentrację.

„Jano, nie ruszaj się! Masz kleszcza!”.

Kleszcz był ogromny, porządnie opity, wprost na piersiach.

„No to go wyciągnij! Szybko!” – przestraszył się Jano.

Bacia złapał kleszcza w palce, ciągnął, kręcił nim we wszystkie strony, ale kleszcz nie dawał za wygraną! Polewany borowiczką, olejem, benzyną – nadal nie puszczał, skubany.

„A w rękach mam dobrze siły!” – bacia pokazał wielkie, krzywe palce. „Mówię do Jana: siadaj na ławie tyłem i złap się! Zacząłem kleszcza ciągnąć, żeby tylko go wyrwać! Łała się krew, jeszcze nie widziałem tyle krwi z jednego kleszcza. Dzień później Jano mówi do mnie: ‘Fero, to nie był kleszcz, tylko znamię!’ Ogłupiały gorzałą zapomniał o znamieniu, przestraszył się i tak jak ja widział w nim kleszcza”.

„Jezu! Przecież to mogło się źle skończyć!”.

„No i się skończyło! Nie minął rok, a Jano umarł. Proboszcz na pogrzebie mówił, że taka była wola Boga! Takiego wola! Gorzałę! Za trzy miesiące proboszcz jechał samochodem, był podziębiony, wyciągnął chusteczkę, poprosił kościelnego, żeby przez chwilę potrzymał kierownicę, zanim on nie wydmucha nosa”. Nagle kichnął, kościelny się zląkł, szarpnął kierownicę i wypadł z drogi. Wszędzie dookoła szerokie pole, miękkie grunty orne, przypadkowo znalazł się tam krzyż z Jezusem. Wjechali w niego i proboszcz zginął. Wola Boża, przeznaczenie, przypadek? Co go zabiło? Katar, kościelny, Jezus czy kto?”.

„Co żem narobił?” – biadolił facet w rzeźnickiej koszuli w kratę i zakrywał sobie rękami twarz.

„Jaki to dobry kierownik był? Szysko załatwił! Wczoraj miał sześćdziesiąt lat. Trochę my popiły. Godo mi, Palko, odgrzeb mi kawałek polędwicy na niedzielę!”.

Kierownik siedział na ziemi w płaszczu, opierał się o drzwi. Rękę miał zawiniętą w zakrwawioną szmatę. Wstałem, żeby sprawdzić, co mu jest. Kiedy dotknąłem szmaty, stary jęknął z bólu, pociemniało mu.

„Tu? tu szy tu? Wiesie, że tu!”, machał szeroko rękami rzeźnik. „Wziął ja siekiere i ciach!!!”.

Rębnął dłoń w powietrze. Powoli rozwiązywałem brudną szmatę. Dwaj młodzi policjanci stali na środku ambulatorium jak wryci, ani drgnęli. Stary drżał, przy każdym dotknięciu syczał z bólu.

„Ja wiedział, że tam palce wetkniesz?” – krzyknął rozpaczliwie rzeźnik.

Ściągnąłem szmatę. Stary miał palce odcięte jednym gładkim razem.

„Na chirurgię!!! Szybko!” – wrzasnąłem.

Policjanci doskoczyli i podnieśli starego za nogi.

„Powinien Pan wezwać pogotowie!”.

„Przecie zwoiłem! Ale przyjechały te!” – rzeźnik wskazał policjantów.

„Gdzie są palce?”.

Stary zacharczał, pokazał na kieszeń. Sięgnąłem mu do płaszcza i znalazłem zakrwawioną chusteczkę. Rozwinąłem. Były w niej palce. Wszystkie cztery.

„Pomylili numer” – tłumaczył policjant, kiedy prowadziliśmy starego do samochodu.

„Zadzwonili po nas, no to ich zabraliśmy, nie można było się z nimi porozumieć”.

Żeby dojść do ładu, zaparzyłem kawę, ale ledwo wzięłem łyka, znowu kogoś przywlekli.

Tym razem faceta w czerni. Ze stypy. Cały był we krwi. Za wszelką cenę chciał iść na cmentarz, kopać grób swojego ojca. Zrobić to, zanim ktoś go ubiegnie. Chciał zdobyć głowę ojca, choćby gromy z nieba leciały, choćby miał za to słono zapłacić. Ojciec na froncie odniósł rany, miał platynową czaszkę. Facet mówił o tej czaszce

już w prosektorium, ale wykręcali się, że nie mogą. Komu ta głowa będzie jeszcze potrzebna? Wzięłyby tylko platynę. Czaszkę zostawiły w spokoju.

„Niech mnie pan zostawi, podzielę się” – proponował.

„Pewnie!” – przytaknąłem i związałem go.

Na stypie pokłócił się z bratem, walnął pięścią w stół, niechący rozbił szklanę i pociął sobie rękę. Ciągnęli go na pogotowie, ale złapał się stołu i nie chciał puścić. Wzięli go razem z nim. Rozzłościł się, podniósł stół, rzucił nim w brata, brat zrobił unik, stół przeleciał przez szybę do holu. Zrobiło się gorąco.

W sali obok było wesele. Wbiegł tam. Gonili go wśród tańczących. Zanim go złapali, zdążył wytrzeć zakrwawione ręce w suknię ślubną panny młodej.

Wspólnymi siłami wyprowadzili go na zewnątrz. Złapał się poręczy. Nie mogli go oderwać. Jeszcze raz im się wyrwał, wtargnął na salę i znów wytarł ręce w ślubną suknię.



Zdjęcie Maciej Czerwonka



Zdjęcie Maciej Czerwonka